

PRAWDA O FUNDAMENTALIZMIE

Ostatnio wiele pisze się na temat fundamentalizmu. Zdaniem większości jest on postawą bardzo niebezpieczną, której należy za wszelką cenę unikać. Niektórzy autorzy — między innymi prof. Antonio Bentué z Wydziału Teologii Papieskiego Uniwersytetu Katolickiego Chile — uważają nawet, że taka tendencja występuje w łonie Kościoła i że należy z nią zdecydowanie walczyć, posiada bowiem ona wyłącznie negatywne cechy.

Zacząć należy od wyjaśnienia kilku zasadniczych kwestii. Po pierwsze, słowa tego używa się dziś przede wszystkim w odniesieniu do świata islamskiego, w którym fundamentalizm występuje w najostrzejszej, dalekiej od tolerancji formie. Trzeba jednak pamiętać, że w tym świecie nigdy nie było prawdziwego podziału, ani wyraźnego rozróżnienia między tym, co religijne, a tym, co świeckie; między Objawieniem a jego konkretnym zastosowaniem w życiu wierzącego. W historii islamu postawy fundamentalistyczne były zawsze obecne; w ciągu stuleci wyrażano je w rozmaity sposób, między innymi przy pomocy pojęcia „dżihad”, oznaczającego „świętą wojnę” prowadzoną z niewiernymi po to, aby krzewić słowo Mahometa. Do takich postaw należy również potępienie wszystkiego, co mogłoby świadczyć o pogardliwym lub szyderczym stosunku do świętości. Nie tak dawne przykłady Iranu i innych krajów muzułmańskich, w których zabroniono naśladowania wzorców zachodnich i opowiedziano się za powrotem do dosłownego odczytywania Koranu, są bardzo wymowne. Najbardziej chyba skrajnym przypadkiem jest wyrok śmierci, wydany przed kilkunastu laty przez Ajatollaha Chomeiniego na Salmana Rushdiego, któremu zarzucono, że w książce „Szatańskie wersety” szydzi z proroka Mahometa.

Przenosząc się na grunt świata chrześcijańskiego, również winniśmy wyjaśnić kilka ważnych pojęć. Zaczniemy od tego, że fundamentalizm nigdy nie był zjawiskiem typowym dla katolicyzmu. Taka postawa była natomiast obecna przez kilka stuleci w niektórych Kościołach lub sektach reprezentujących nurt anabaptystyczny i profetyczny. Jednakże sam termin pojawił się dopiero

w drugim dziesięcioleciu XX wieku. W latach 1910—1915 grupa ewangelickich protestantów opublikowała w Stanach Zjednoczonych szereg artykułów pod wspólnym tytułem: „The fundamentals. A testimony of the truth” Autorzy ci starali się zdyskredytować teorie Darwina i proponowali dosłowne rozumienie Biblii.

Takie stanowisko należy zatem wyrazić do tradycji protestanckiej, zgodnie z którą (począwszy od czasów Lutera, albo jeszcze wcześniej, od czasów Anglika Wiklifa, zmarłego w 1384 roku) do osiągnięcia zbawienia wystarczy sama tylko wiara oparta jedynie na Piśmie świętym. Każdy wierny powinien samodzielnie odczytywać i interpretować Pismo święte, bez pośrednictwa Magisterium formułującego „oficjalną” wersję. Powodem dla którego podtrzymywano tego rodzaju stanowisko, było przekonanie, iż w poprawnej interpretacji Słowa Bożego ludowi chrześcijańskiemu — który jako całość jest częścią kapłaństwa powszechnego — pomaga Duch Święty. Jeśli chodzi o Tradycję ustną, zostaje ona całkowicie wyeliminowana z dziedzictwa wiary protestanckiej. *A priori* można by uznać, iż taka postawa jest prawidłowa, rzeczywistość pokazuje jednak, że interpretacja Pism nie jest łatwa z racji ich obojętności i złożoności, a ich tak zwany „swobodny rozbiór” doprowadził chrześcijaństwo protestanckie do faktycznego podziału na tysiące Kościołów, odgałęzień i sekt. Nie miałoby to aż tak wielkiego znaczenia, gdyby nie fakt, iż cały ten proces dotyczy zbawienia dusz.

Z kolei w Kościele katolickim — a także w Kościołach prawosławnych oraz wschodnich (koptyjskim, etiopskim, nestoriańskim, ormiańskim, syryjskim, malabarskim) — panuje opinia, iż powinna istnieć jedna tylko interpretacja Objawienia, będąca dziełem najwyższego magisterium Kościoła: papieża — w katolicyzmie, a w pozostałych przypadkach — biskupów obradujących na soborach. Z drugiej jednak strony, już od pierwszych wieków uznawano rozmaite sposoby interpretowania Pisma, a nie tylko interpretację dosłowną, na której opiera się fundamentalizm. Od początku jednym ze sposobów przekazywania Objawienia w Kościołach starożytnych była również tradycja ustna, co czyniło funkcję magisterium jeszcze bardziej potrzebną. I wreszcie, objaśnianie Pisma było zastrzeżone dla tych, którzy kierowali chrześcijańską wspólnotą, począwszy od samego Chrystusa. Przypomnijmy, że Jezus komentował i objaśniał swoje przypowieści apostołom i uczniom. Potem egzegezą i objaśnianiem nauki Mistrza zwykłym wiernym zajęli się św. Jan, św. Jakub, św. Piotr, a przede wszystkim św. Paweł. Pod koniec I wieku, około roku 96, Klemens Rzymski, czyli papież Klemens I, tłumaczył fragmenty Objawienia chrześcijanom

z Koryntu, zapoczątkowując w ten sposób trwający prawie dwadzieścia wieków okres najwyższego, nieprzerwanego, magisterium Kościoła katolickiego.

Widać zatem, że fundamentalizm nigdy nie był charakterystyczną cechą łacińskiego czy też zachodniego chrześcijaństwa. Było nią natomiast istnienie oficjalnej wykładni określającej głęboki sens Chrystusowego przesłania, która pojawiła się po doświadczeniu różnych, wzajemnie sprzecznych, wykładni występujących już w czasach apostoelskich. Celem magisterium jest przekazywanie i objaśnianie wiary. Wiary, która nie zawsze jest oczywista i prosta, i która może stać się przedmiotem najrozmaitszych, nawet wzajemnie sprzecznych, interpretacji. Weźmy przykład Trójcy Świętej. Jej definicja: jeden Bóg i trzy różne Osoby, nie była początkowo tak bardzo oczywista; ostateczne jej sformułowanie przypadło w udziale ekumenicznemu Soborowi Nicejskiemu, w 325 roku. To samo dotyczy łaski, wolnej woli człowieka, sakramentów i innych kwestii będących do dziś przedmiotem dyskusji. Można powiedzieć, że owa skłonność do definiowania nie występowała w tym samym stopniu w Starym Przymierzu, z różnych zresztą powodów.

Po pierwsze, działanie Boga i przekazywanie Jego Słowa i Jego Prawdy trwało wiele stuleci, nauczanie miało więc solidne podstawy, a interpretacje tak zwanych uczonych w Prawie dotyczyły bardziej zachowań ludzkich wobec nauczania niż samego nauczania. Po drugie, fakt, iż Objawienie Nowego Przymierza zostało spisane w języku greckim i że św. Paweł oraz inni apostołowie byli tak mocno związani z kulturą hellenistyczną, sprawił, że do nowej wiary wniesiono — jak mi się zdaje — upodobanie do precyzyjnych, racjonalnie przemyślanych definicji. Innymi słowy to, co nazywamy dogmatem, zawdzięczamy raczej skłonnościom Greków niż Hebrajczyków, filozoficznemu dopełnieniu zwykłego, pierwotnego fideizmu. Po trzecie, chrześcijaństwo nie jest religią dziedziczną po przodkach, jak hinduizm (w którym dziedziczy się także przynależność do kasty), judaizm, islam czy wiele innych, bardziej archaicznych, lecz religią, której wyznawanie jest dobrowolne; a zatem dobrowolnie podejmowana decyzja wymaga, by była ona oparta na zespole jasnych, jednoznacznych wierzeń i reguł. Najlepszym tego dowodem jest formuła *Credo*, Symbolu będącego dokładnym streszczeniem zasadniczych prawd, jakie należy zaakceptować, aby przystąpić do Kościoła. W innych religiach już sama idea redagowania jakiegoś katalogu prawd jest nie do pominięcia. To prawda, że ostatecznej redakcji *Credo* dokonano do-

piero na Soborach: Nicejskim (325 r.) i Konstantynopolitańskim (380 r.), ale już wcześniej, od początku, wymagano od neofity czy nawróconego, by dokładnie wiedział, co ma zaakceptować i w co ma wierzyć.

Owa skłonność do definiowania przetrwała do dnia dzisiejszego. Często towarzyszy jej wykorzystywanie lub odrzucanie stwierdzeń zapożyczonych z filozofii, innych religii lub ideologii. Istnieje tendencja polegająca na przenikaniu tych stwierdzeń do tego, co określa się mianem „depositum fidei”, a czego nikt nie jest władny zmienić, ponieważ to coś opiera się bezpośrednio na Słowie Bożym. Nie chodzi zatem o „uznanie treści wierzenia za pewną całość (...) bez interpretacji «relatywizujących»”, o którym mówią niektórzy współcześni teolodzy, lecz o pokorną akceptację Prawdy, takiej jaką w sposób organiczny i harmonijny wypowiada najwyższe Magisterium. Prosty i jednoznaczny język bierze się z wymogu postawionego przez samego Chrystusa, który powiedział: „Niech wasza mowa będzie: Tak, tak; nie, nie” Inaczej mówiąc, punktem wyjścia jest założenie, iż człowiek posiadał w dostatecznym stopniu zdolność odróżniania Dobra od Zła, Prawdy od Błędu.

Wiąże się z tym wyrażenie: *Extra Ecclesiam, nulla salus* (poza Kościołem nie ma zbawienia). Innymi słowy, wszystko, co jest poza Prawdą, ma mniejsze znaczenie. Nie oznacza to jednak, że nie dostąpią zbawienia ci wszyscy, którzy nie wyznają wiary Chrystusowej. Dostąpią go w zależności od zasług wobec Chrystusa i osobistego wysiłku, w zależności od tego, jak bardzo będą się starali osiągnąć Prawdę i prowadzić życie pełne cnót. Ale dla wszystkich chrześcijan Prawdą jest Chrystus, o czym On sam powiedział w Ewangelii św. Jana. Akceptacja tego faktu nie jest dowodem integryzmu, jak twierdzą niektórzy teolodzy, ani przejawem inkwizycyjnej mentalności, lecz niezbędnym fundamentem całej reszty. Jeśli Chrystus nie jest Prawdą, to czy wiara w Niego i pokładanie w Nim zaufania ma jakikolwiek sens?

A przecież w dzisiejszym świecie zachodnim jedną z dominujących tendencji jest wiara, że we wszystkich religiach uznaje się tę samą Prawdę, albo przynajmniej jej część, i dlatego wszystkie one są jednakowo ważne. Misyjny wysiłek głoszenia nauki i zachęta do nawrócenia jawią się w tym kontekście jako coś przestarzałego, a słowa Jezusa: „Kto nie jest ze Mną, jest przeciwko Mnie”; „Do każdego, który się przyzna do Mnie przed ludźmi, przyznam się i Ja przed moim Ojcem”; czy: „Kto uwierzy, będzie zbawiony; a kto nie uwierzy, będzie potępiony”; tracą swój sens. Są to, niewątpliwie, ostre słowa; jeden z odłamów współczesnego

tak zwanego „progresizmu” klerykalnego podjął olbrzymi wysiłek, by zrelatywizować ich znaczenie. Ale „ostrość” nie rodzi integralizmu ani fundamentalizmu; trzyma się jedynie treści i ogólnego sensu przesłania Chrystusa, który w tym, co dotyczyło zbawienia, zawsze był precyzyjny.

Sprawą, która wiąże się z poprzednią i którą porusza wielu współczesnych teologów, jest akceptacja lub odrzucenie „rozumu naturalnego” w wyrażaniu religii. W tym kontekście jest rzeczą od samego początku oczywistą, że wiara i rozum nie przeciwstawiają się sobie, ani nie wykluczają wzajemnie, lecz uzupełniają się i wspomagają. Najlepszym i najnowszym dowodem takiego stanowiska jest encyklika Jana Pawła II *Fides et Ratio*. Jednakże owo uzupełnianie nie odbywa się w sposób jaki przedstawiają niektórzy autorzy. Nie chodzi bowiem o przystosowywanie się do zmiennych warunków każdej epoki, ani o „prowadzenie dialogu” z każdym napotkanym po drodze błędem. Nawet Chrystus tego nie robił, co łatwo można sprawdzić w Ewangeliach: czynił wymówki uczonym w Piśmie i faryzeuszom, i sprzeciwiał się słuchaczom nawet wtedy, kiedy się wydawało, że chodzi o rzeczy w oczywisty sposób „rozsądne”. Jego przesłanie musi zatem wykraczać poza ramy poszczególnych epok i szkół, czy też kierunków myślowych, aby wykorzystać to, co w nich dobre, i odrzucić to, co złe. W ciągu stuleci taki pogląd wyznawało wielu papieży i wiele soborów, nawet wtedy, kiedy potępienie z ich strony wydawało się „ostre” i na wyrost. Było w rzeczy samej na odwrót: sądzę, że pojmowanie chrześcijaństwa jako płynnego kodeksu doktrynalnego i etycznego, zmieniającego się w zależności od kultury i stulecia, „dialogującego” ze wszystkimi nurtami myślowymi, nie wykluczając tych najbardziej jadowitych, i przystosowującego się bezustannie do zmian zachodzących poza nim, a nawet przeciwko niemu, jest przejawem braku zaufania do słów samego Jezusa. Jezus musiałby bowiem dokonywać wielokrotnych wcieleń, aby dostosować swoją naukę o zbawieniu do przemian zachodzących w świecie. Objawienie nie miałoby zatem końca: przechodziłoby proces ciągłego formowania i ewolucji, i byłoby spętane propozycjami zawartymi w zawitych teoriach.

Wspomniane stanowisko cieszy się największym poparciem spośród tych wszystkich, które są głoszone w ramach pewnych tendencji związanych z progresizmem wewnątrz Kościoła. Wprowadzać pluralizm, przystosowywać, utrzymywać dialog, zmieniać sens, współcześniać. W żadnym wypadku nie definiować, nie obstawać, nie wykluczać czy potępiać. Podejmuje się nawet próby

darowania win tendencjom filozoficznym, sprzecznym z Objawieniem. Oto ich przykłady z Europy z ostatnich dwóch stuleci: stanowisko Kanta, który pojmuje Byt jako coś „potencjalnego”; Hegla, który mówi o Bogu powstającym (*Gott im Werden*); Feuerbacha, który utrzymuje, że Bóg to tylko wymysł człowieka; Marksa, dla którego Bóg i religia to jedynie burżuazyjna nadbudowa, służąca do narkotyzowania proletariackich umysłów; Comte’a, który traktuje bóstwo jako pozostałość po okresie niedojrzałości i przesądów; Nietzschego, który utrzymuje, iż Bóg umarł. Stąd wzięły się teologie „śmierci Boga”, teologie „wyzwolenia”, teologie synkretyzujące (zwłaszcza te, które uwzględniają elementy orientalne, czy też New Age).

Oczywiście, z tego punktu widzenia nie tylko teologia, ale w ogóle wszystkie przejawy religii winny podlegać zmianom realizowanym poprzez adaptację i dialog: liturgia, moralność, dyscyplina, szaty *et alia*.

Nie ulega wątpliwości, że są takie aspekty i metody, które mogą i powinny podlegać zmianom w instytucji będącej żywym organizmem, ale należy to robić bez zmieniania czy osłabiania jej korzeni i fundamentów. Tym bardziej, że chodzi o fundamenty, które — w co my, chrześcijanie, wierzymy — zostały nam dane przez Boga. W tym kontekście nikt nie powinien żywić obaw przed tym, że zostanie napiętnowany jako „fundamentalista”

Historia dostarcza nam innych, lepszych przykładów. Część spośród tych, którzy w trwającym setki lat okresie przywłaszczali sobie prawo do sprawowania władzy nad Kościołem katolickim, wahała się między przystosowaniem się do świata a jego odrzuceniem. Przypomnijmy w tym miejscu nakaz dany przez Chrystusa uczniom, by byli na świecie, ale nie ze świata. Innymi słowy: od czasu do czasu Kościół musiał wybierać — dokonując wyboru ludzi — czy chciał być Matką i Nauczycielką, czy też po prostu interlokutorem tego „świata” Odwołajmy się raz jeszcze do słów jego Założyciela, który powiedział, że chrześcijanie nie powinni się troszczyć o rzeczy materialne, albowiem Jego Królestwo „nie jest z tego świata”. Dając innym pokój, powinni czynić to „nie tak jak daje świat” Decydując się na działalność w społeczeństwie, powinni „oddać Cezarowi to, co należy do Cezara, a Bogu to, co należy do Boga” I tak dalej. Jednak pokusa akceptacji świata, z całą jego próżnością i wszystkimi wytworami, była zawsze bardzo silna, a dążenie do przystosowania — nieustające, pomimo ciągle negatywnych rezultatów. Przypomnijmy najważniejsze z podejmowanych prób, z zachowaniem porządku chronologicznego.

Pierwszym przykładem jest Cesarstwo Rzymskie. Wiemy, że po wiekach prześladowań zaczęto tolerować chrześcijaństwo, a następnie uznano je za oficjalną religię. Proces ten trwał od roku 313 do 391, czyli od panowania Konstantyna I do rządów Teodozjusza I. Warto przypomnieć, iż chrześcijaństwo przystosowało się do kulturalnych i politycznych form obowiązujących w Rzymie, prowadziło dialog ze światem klasycznym, aż w końcu wyparło inne religie. Wynik: po dość krótkim czasie Cesarstwo Rzymskie runęło (przynajmniej na Zachodzie) za sprawą barbarzyńskich najeźdźców, którzy albo byli poganami, albo należeli do sekty arian. Kościół rzymski, czy też katolicki, tak blisko związany ze starą strukturą Cesarstwa, nie mógł podnieść się po tym dotkliwym ciosie przez kilka stuleci. W owym czasie było to tematem dość ożywionych polemik, o czym świadczą pisma św. Augustyna. Na powrót do dawnej kondycji bardzo duży wpływ wywarło nawrócenie króla Franków Chlodwiga, które miało miejsce w Boże Narodzenie roku 496.

Kolejny przykład to przystosowanie się katolicyzmu do systemu feudalnego, rozwijającego się od czasów Karola Wielkiego aż do XVI wieku. Pojawiły się wówczas lenna kościelne, duchowni z tytułami hrabiowskimi i książęcymi, dowodzący armiami i dysponujący pełnią władzy doczesnej. Na ten czas przypadło także umocnienie się Państwa Kościelnego, rządzonego przez papieży. Duchowieństwo tak blisko związało się z feudalnym systemem politycznym, że granice pomiędzy tym, co religijne, a tym, co świeckie, niemal uległy zatarciu. Pojawiło się na ten temat wiele rozpraw teoretycznych, poczynając od jedenastowiecznych traktatów św. Piotra Damianiego aż po bullę *Unam Sanctam* Bonifacego VIII z początku XIV wieku. Na nieszczęście dla Kościoła, feudalizm także upadł, doprowadzając do szeregu poważnych kryzysów, począwszy od XIV wieku. To prawda, że kryzys rozpoczął się w płaszczyźnie teologicznej wraz z Ockhamem i pierwszymi herezjarchami zachodnimi, takimi jak Wiklif i Hus. Kiedy jednak wybuchła wielka reforma protestancka, ogromnie ważną rolę odegrał czynnik polityczny, a sojusz kleru i feudałów bardzo zaszkodził Kościołowi katolickiemu.

Trzeci przypadek to sojusz, przystosowanie i dialog historycznego katolicyzmu z monarchią absolutną z XVII i XVIII wieku. Rezultatem był sromotny upadek monarchii, do którego doprowadziła Rewolucja Francuska, a karą — tym razem bardzo dotkliwą — likwidacja Kościoła we Francji, w listopadzie 1793 roku.

Istnieje mnóstwo pomniejszych i bardziej szczegółowych przykładów relacji między religią a polityką. I zawsze kończą się one

źle dla tej pierwszej, z powodów dość oczywistych. W tym kontekście słynny 80-ty punkt *Syllabusa* ogłoszonego w 1864 roku przez Piusa IX nabiera nowego znaczenia. Przypomnijmy jego treść: „Podlega klątwie ten, kto mówi, iż rzymski papież może i powinien pojednać się i pogodzić z postępem, liberalizmem i nowoczesną cywilizacją” Słowa papieża, dalekie od tego, by stanowić zuchwały wyraz reakcji i obskurantyzmu, nie mogłyby lepiej odzwierciedlić roztropności autora. W rzeczywistości twierdzi on bowiem, że w świetle tak wielu zgubnych sojuszy i pojednań ze skazanymi na zniknięcie systemami politycznymi i społecznymi. Kościół powinien wznieść się ponad nie wszystkie, oświecić je, nie zaś przystosowywać się do nich. Innymi słowy, winien być „na świecie, ale nie ze świata” Przegląd tego, co wydarzyło się w naszej zachodniej kulturze w ciągu ostatnich 130 lat, potwierdza rozważne słowa *Syllabusa*. Kolejne ideologie powstawały i zamykały się, a upadając pociągały niekiedy za sobą duże liczebnie odłamy chrześcijan. Wystarczy przypomnieć niedawne obalenie reżimów marksistowskich w Europie Wschodniej.

Mimo to, nawet dzisiaj wielu wyznających progresizm duchownych nadal kładzie nacisk na potrzebę adaptacji do obowiązujących polityk, niezależnie od tego, czy są one liberalne, socjalistyczne, czy spod jakiegoś innego znaku. Chcą bowiem ponownie związać Słowo Boże z aktualnie panującym reżimem.

Doszli nawet do tego, że przypisują święty i *quasi* boski charakter demokracji jako takiej, z pominięciem jej realnego statusu jako jednej z wielu form rządzenia w długiej historii Zachodu. W tym ostatnim rozumieniu jest ona również skazana na zniknięcie, nawet jeśli wydawać się nam będzie, że jest to forma najlepsza. Nic nie jest wieczne w sferze polityki, zwłaszcza na Zachodzie. Tak samo traktują oni prawa człowieka i inne współczesne nurty socjologiczne, filozoficzne czy ideologiczne. Nie zdają sobie sprawy z tego, że ponownie wpadają w pułapkę, albowiem w momencie, kiedy również i te idee odejdą w zapomnienie, nad Kościołem zawiśnie groźba kary, a jego reputacja zostanie poważnie zachwiana. Wygląda na to, że historia niczego ich nie nauczyła.

Podsumowując: działanie na rzecz zachowania religii w świecie nie zakłada „związku małżeńskiego” ze światem w jego zmieniających się przejawach społeczno-politycznych. Rozwaga w tym względzie nie ma nic wspólnego z fundamentalizmem. Raczej na odwrót. Fundamentalistami są ci, którzy zachęcają chrześcijan, by związali się z jakimś określonym systemem rządzenia. Nie są oni, być może, fundamentalistami religijnymi, ale stają się fundamentalistami politycznymi. Pozwalając na to, by wszystko inne było

traktowane jako „dodatek”, przeinaczają sens Bożego nakazu szukania Królestwa Bożego i jego sprawiedliwości.

Taka opinia, oparta na wiedzy o przeszłości i o godnych ubolewania przypadkach „pojednania ze światem”, jest — jak mi się wydaje — charakterystyczna dla chrześcijańskiego historyka. Głoszenie jej może się wydawać zadaniem niewdzięcznym, ale uważam, że nigdy nie będzie ono czymś niewłaściwym.

tłum. **Grzegorz Ostrowski**